

Przełot tęczowych balonów nad Warszawą... Prokurator żąda dwustu lat ciężkich robót dla przywódcy szajki gorszycieli, przyłapanych na potajemnym dokarmianiu rodziców... Prognoza dalszego wzrostu gospodarczego... Zagrożenie lawinowe w Tatrach.

— Lawiny we wrześniu? — Magik wyłączył telewizor i wrócił do przeglądania listy potencjalnych celów.

Wiedział, że zdobycie emerytury nie będzie łatwe. Ludzie zdziczeli. Zanikał altruizm, a przyzwoitość i prostota ducha stawały się powoli towarem deficytowym. Magik skończył sześćdziesiąt siedem lat, ale wobec czekającej go próby czuł się stary i słaby. Nie miał doświadczenia w zabijaniu. Nie poszedł nawet do rzeźni, gdzie mógł całkowicie za darmo oswoić się z odorem krwi. Urzędowe zaproszenia zwinięte w kulkę leżały na dnie kryształowego wazonu.

Oczywiście zaproponowano mu eutanazję, ale odkąd państwo fundowało chętnym jedynie krótkie przedśmiertne wakacje nad cuchnącym Bałtykiem, nie było zbyt wielu chętnych. Już pakowanie walizki byłoby nie do zniesienia dla wrażliwej duszy Magika. Starszy referent Majewski zgodził się i wyszedł na tym jak najgorzej. Biedak spędził ostatni tydzień życia na ulicy. Patron musiał karnie skrócić jego pobyt w ośrodku wczasowym, ponieważ nocami wył ze strachu i na dodatek pogryzł hostessę. Nie wyglądał na twardziela ani w ogóle na nic, gdy leżał zaplombowany na schodach ośrodka zdrowia, czekając na swoją kolej.

Magik wraz z setkami kandydatów podczas uroczystej kolacji zorganizowanej przez Powszechny Zakład Ubezpieczeń zdał zieloną obrozę pracownika. Aby zdobyć czerwoną, musiał w ciągu miesiąca zabić emeryta, który wyczerpał swą pięcioletnią pulę.

Jako pierwszą skreślił mieszkającą prawie po sąsiedzku panią Grodzicką. Staruszkę, której świadczenie było tak marne, że od ośmiu lat nikogo nie skusiła jej co rok zmniejszana emerytura. Kobiecie brakowało nawet wody. By od czasu do czasu umyć wyschnięte, nikomu niepotrzebne ciało, zbierała deszczówkę do niegdyś żółtej, wyblakłej plastikowej wanienki. Sąsiedzi, którzy od czasu do czasu dokarmiali staruszkę, twierdzili, że widzieli ją potajemnie zbierającą robaki. Na myśl o takim życiu Magikiem wstrząsnął dreszcz obrzydzenia.

Z innych powodów skreślił Anatola Kleina, kolejnego sąsiada, który żył ponad pięcioletni limit. Ten naturalizowany Niemiec trzykrotnie obronił swoją emeryturę, zabijając dwóch kandydatów. Trzeciemu udowodnił próbę przejęcia świadczenia przy

użyciu zakazanej broni. Konkretnie przy użyciu kuszy. Klein, jak większość byłych funkcjonariuszy, posiadał karabin.

Magik wylosował nóż. To był uśmiech fortuny. Mógł teraz chodzić ulicami z ukrytym w kieszeni śmiercionośnym ostrzem. Zawsze istniała szansa napotkania desperata w przezroczywej obroży. Wielokrotnie spotykał takich, gdy wracał z pracy. Wiedział, że teraz będzie trudniej. Wokół tych bez obroży tworzyła się pustka. Wszyscy wiedzieli, że polują. Ich walka o przeżycie budziła respekt. Z dnia na dzień Magik stał się jednym z myśliwych.

Minęła siedemnasta, gdy wreszcie wyszedł na ulicę. Uznał, że przed zapadnięciem zmierzchu zdąży odwiedzić dwa cele, które spisał z urzędowej listy adresów.

Magik miał szesnaście lat, gdy wprowadzono ulepszony system emerytalny. Brał nawet udział w niesławnych protestach pod siedzibą parlamentu. Po pięćdziesięciu jeden latach chętnie przyznałby się do pomyłki, ale od dawna nikogo nie interesowało jego zdanie na ten temat. Powszechnie uznawano, że system się sprawdził. Był sprawiedliwy i obowiązywał wszystkich. Nikt nie kwestionował prawa weteranów do zachowania przydziałowej broni. Podobnie było z fortecami wyższych urzędników, polityków i ludzi kultury. Nikt też nie zabraniał podejmowania ryzyka i szturmowania ekskluzywnych celów. Magik prawie codziennie oglądał w telewizji relacje z „gry o dużą stawkę” — jak nazywano szarżę kandydatów łaknących dóbr materialnych i sławy.

Na przykład w dniu, gdy wyruszył na pierwsze polowanie, rankiem, w kanale Moralność²⁴ pokazano śmierć pewnego byłego geodety, któremu mina przeciwpiechotna urwała obydwie nogi. Nieszczęśnik, po sforsowaniu muru otaczającego rezydencję byłego popularnego prezentera pogody, szarżował, wrzeszcząc z uniesioną szablą w dłoni. Wystarczyło, że dystyngowany starzec, zażywający akurat kąpieli słonecznej, nacisnął przycisk w oparciu leżaka. Pazerny mierniczy kwilił niczym dziecko, zasłaniając twarz poranionymi dłońmi, podczas gdy dowódca patrolu, wyglądający jak czarny błyszczący żuk, przykładał mu ostrze noża do gardła. Scena likwidacji rozegrana była w takim rytmie, że pokazano ją z podłożoną pod obraz melodią walca.

— Wybrał się dziadek po złote runo! — Magik uśmiechnął się kwaśno na wspomnienie efektownego wybuchu, jednocześnie dotykając rękojeści ostrego jak brzytwa urzędowego noża.

Wiedział, że jeśli zabije na ulicy albo wybierze odpowiednio atrakcyjny cel, ma szansę trafić na ekran. Na dyskach zapisał setki podobnych scen.

Pierwszy cel, Kacper Ryczkowski, mieszkał na Wiatracznej. Był dyplomowanym operatorem pompy. Szklane szyby we wszystkich oknach świadczyły o zamożności mieszkającego tu samotnego mężczyzny. Magik przyjrzał się zielonej furgcie zamykanej na zwyczajny druciany haczyk. Szukał pułapek, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Na klombie pod otwartym oknem pysznił się krzak białej róży. Przed zamkniętym garażem stał oparty o ścianę żółty, zakurzony rower. Z dętek zeszło powietrze. Obok wałało się kilka pustych kanistrów służących do noszenia wody. Beton na podjeździe od dawna ulegał powolnej erozji. Ktoś zmiótł szare ułamki, tworząc z nich niewielki stosik.

Niespodziewanie zza narożnika domu wyszła wysoka, ubrana w czerwony dres, mocno zbudowana kobieta. Jasne włosy splotła w krótki warkocz. W charakterystyce celu nie było mowy o żadnej kobiecie. Jej obroża była zielona.

Intensywna barwa wskazywała, że nie mogła mieć więcej niż pięćdziesiąt lat. Ciężkim, zamaszystym krokiem zbliżyła się do Magika, wpatrującego się z głupią miną w kartkę z notatkami.

— Przypuszczam, że przyszedł pan zabić mojego męża. Nie mylę się, prawda? Jest pan trzecim kandydatem do przejęcia jego emerytury. Każdemu mówię to samo, co teraz powiem panu.

— Mąż żyje?

— Spieprzaj! To właśnie mówię każdemu! Zabieraj się stąd i więcej nie wracaj.

Magik doznał szoku. Słowa kobiety były jawnym pogwałceniem prawa. Od lat nie słyszał tak wulgarnego wyrazu. Nie wiedział, jak zareagować.

— Proszę pani, ja tylko... — Jego głos drżał.

Zaskoczony z trudem powstrzymał się, by nie wybuchnąć płaczem.

— Proszę! Mój mąż drzemie po obiedzie. Może pan poderznąć mu gardło tym swoim kozikiem, ale uprzedzam, że najpierw rozwałę panu łeb tym oto szpadlem. — Wskazała na oparty o mur solidnie wyglądający szpadel.

— Pani narusza... — Nie mógł powstrzymać łez. — Pani mąż ma prawo się bronić, ale zgodnie z konstytucją pani postawa powinna być bezwarunkowo... — Utknął, nie mogąc przypomnieć sobie właściwego słowa.

— Neutralna — dokończyła za niego. — Przysięgam, że całkiem neutralnie rozwalę panu łeb. Poza tym nie jest tylko moim mężem, ale też dobrym człowiekiem i nie pozwolę go skrzywdzić.

— Dobrym człowiekiem? — Jakby już otrzymał cios.

Odskoczył od furki tak gwałtownie, że o mało nie upadł.

— Nie jesteś tutejszy, to ci powiem. Pod naszą ulicą krzyżują się jakieś cholerne kable. W całym kwartale nie działają kamery. Podsluch podobnie. Możesz to zgłosić, ale władza nic z tym nie robi. Czekają, aż wymrzemy. Większość odeszła, bo nie działają komputery ani telewizja, ani w ogóle nic. Nie mogą nas wysiedlić, bo to byłoby pogwałcenie zasad. Rozumiesz? Zasady, prawo, demokracja! — Splunęła na stosik pokruszonego betonu.

Magik uciekł, ocierając ukradkiem niechciane łzy. Uspokoił się, dotarłszy między normalnych ludzi. Ostrożnie, wyglądając zza węgła, zajrzał jeszcze raz w ciemne gardło uliczki, którą w takim pośpiechu opuścił. Szara, skazana na zagładę robaczywa ulica.

Następna była kobieta, która tego dnia kończyła siedemdziesiąt dwa lata i o północy traciła immunitet emerytalny. Miała na imię Dorota i mieszkała na dwunastym piętrze rozpadającego się bloku z wielkiej płyty. Ciemna klatka schodowa była ohydna. Liszaje wilgoci. Kwiaty grzybów na fioletowych ścianach. Na czterech pierwszych piętrach mieszkali ludzie. Na trzecim dwie dziewczynki grały w klasy. Gdy spytał o panią Dorotę, piszcząc przeraźliwie, ukryły się w jednym z mieszkań. Pomimo narastającego zmęczenia przyspieszył kroku. Na piątym piętrze nie było drzwi. Wszystkie leżały strzaskane, wgniecione policyjnymi taranami w głąb ciemnych przedpokoi.

Stąpił ostrożnie po posadzce zasypanej stłuczonym szkłem. Żółte taśmy zwisały smętnie z pogiętych stalowych futryn. Na podeście siódmego piętra kończyła się poręcz.

Chciał zawrócić, tym bardziej że wyżej klatka schodowa, tonąca w szarym świetle późnego popołudnia, wydawała się martwa. Jednak zielone, pulsujące w półmroku kocie oczy kamer świadczyły o tłącym się gdzieś tutaj życiu. Życiu, które nadal opłaca się obserwować.

Pozbył się resztek wątpliwości, gdy usłyszał dochodzące z góry westchnienie. Smutny, pełen rezygnacji kobiecy głos. Przemógłszy ogarniające go przerażenie czynem, którego miał dokonać, powłókł się dalej, dotykając palcami lewej dłoni

wilgotnej ściany. Emerytura celu nie była wysoka, ale wystarczyłaby na skromne, spokojne życie. Postanowił nie grymasić. Chciał mieć to już za sobą.

Czekała go przykra niespodzianka. Pod drzwiami pani Doroty siedział na kuchennym taborecie otyły mężczyzna. Ostrzem maczety strugał patyk. Drobną, uczesana w kok emerytka przycupnęła w wiklinowym bujanym fotelu, uśmiechając się do swojego przyszłego kata. Otwarte drzwi podparła krzesłem. Zasapanego Magika owiał przyjemny wiaterek przeciągu.

— Jak pan widzi... jestem już zajęta. — Ubrana na biało kobieta kolejny uśmiech przeznaczyła wyłącznie dla niego. — Zziajał się pan. Niech pan odsapnie i napije się z nami mrożonej herbaty.

— Znam panią Dorotę od ponad czterdziestu lat. Przyjaźnimy się.

Mężczyzna uzbrojony w maczetę nie usprawiedliwiał się. Stwierdzał fakt. Gdy kobieta, nucąc walca, zniknęła w kuchni, Magik zapytał szeptem:

— Zetnie jej pan głowę?

— Właśnie to uzgadnialiśmy — odpowiedział mężczyzna.

Choć zapalono prawie wszystkie parzyste latarnie, siąpiący deszcz sprawiał, że było nieprzyjemnie ciemno, a twarze mijanych ludzi wydawały się Magikowi chorobliwie żółte. Wreszcie dotarł do centrum. Wolałby iść prosto do domu, ale przed dziewiątą musiał pobrać produkty na środę. Przywykł do firmowego zaopatrzenia i rzadko chadzał do sklepu. Miał kłopoty z dopasowaniem zakupów do wtorkowej puli. Zdenerwowany sarkaniem niecierpliwących się ludzi, dał za wygraną i wyszedł, zostawiając państwu prawie piętnaście złotych euro.

Idąc, by odegnać lęk, myślał o kobiecie, czekającej spokojnie na śmierć z ręki przyjaciela. Nie powiedziała, kogo i jak zabiła, by zdobyć własną emeryturę. Była nauczycielką. Uczyła dzieci etyki posiadania luksusowych przedmiotów. Dziwna starsza pani, której czas dobiegł końca. Niby aprobowała system, ale uparcie wracała wspomnieniami do swoich kotów. Przecząco kręciła głową, gdy Magik przekonywał ją, że ich całkowita eksterminacja była konieczna. Pomimo swojego wykształcenia zaprzeczała naukowo potwierdzonym faktom, że koty, podobnie jak psy, roznosiły dżumę alergii.

Upór kobiety przypominał mu zawstydzający napad hysterii, jakim popisała się jego matka podczas ogólnoeuropejskiej akcji utylizacji psów. Działo się to w czasach, gdy dorosłe dzieci mogły jeszcze bezkarnie spotykać się z własnymi rodzicami.

Pamiętał, że suczka miała na imię Donia. Policjanci bali się użyć przemocy wobec urzędniczki Ministerstwa Jakości. Wezwali jego. Magik odebrał matce broniące się rozpaczliwie zwierzę. Matka uderzyła go w twarz. Oddał matce z nawiązką. I tyle. Dwa lata później popełniła samobójstwo. Wykorzystał prawo, zabierając z jej domu należną mu pamiętkę. Po namyśle wybrał prawie nowy ekspres do kawy. Używał go do dzisiaj.

Na kolację odgrzał pizzę z owocami morza. Zaparzył kawę i usiadł na kanapie przed telewizorem.

Wzrost gospodarczy, który rano był tylko prognozą, po południu okazał się faktem... Trzej kibice Legii wysadzili się w powietrze, protestując przeciwko zatrudnieniu w ich klubie byłego trenera Nadwiślana Kraków... W Poznaniu mężczyzna urodził dziecko z trzema głowami... Premier obchodził imieniny, które uświetnili swoją obecnością...

Przełączył na program lokalny. Właśnie przedstawiano nowych emerytów. Spojrzał na zabytkowy blaszany budzik. Było za wcześnie, by pokazano Pawła ścinającego Dorotę. Szczęśliwcy, dumni z właśnie zdobytych jaskrawoczerwonych obroży, komentowali pokazywane równoległe filmy. Dziwnie niska ruda kobieta, która wylosowała tasak, podczas egzekwowania prawa straciła trzy palce lewej ręki.

Na wielokrotnie powtarzanym filmie długowłosa mężczyzna, który tak zawzięcie bronił swojego statusu, miał upudrowaną na biało twarz i rozmazaną karminową szminkę na ustach. W rogu ekranu migiała cyfra oglądalności. Magik ze zdumieniem zauważył, że liczba oglądających maleje. Na innych kanałach pokazywano pewnie ciekawsze programy.

Po szesnastu dniach, co było zgodne z regulaminem, odwiedziła Magika komisja weryfikacyjna. Miał jeszcze czas, ale był zaniepokojony własną nieudolnością. Podczas gdy pozostali członkowie zespołu penetrowali jego dom, Magik odpowiadał na pytania młodego, ubranego w czarny garnitur mężczyzny. Wspólnie przejrzeni dziennik aktywności. Magik wykonał dotychczas dwadzieścia cztery podejścia. W tym dwa prawie zakończone sukcesem. Prawie.